Rok I. Kraków 1 Lipca 1893. Nr 13.

NOWY DZWONEK

Czasopismo ludowe

wychodzi dnia 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Przedpłata na *Nowy Dzwonek* wynosi:
w **Galicyi** rocznie: **4** złr.
półrocznie: **2** złr.
kwartalnie: **1** złr.

W Niemczech rocznie: **8** mk.
W Ameryce rocznie: **2** dolary.
Adres do przesyłania przedpłaty: *Redakcya Nowego Dzwonka,* **Kraków,** ul. Pijarska l. 5.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Uprasza się

o przedpłatę na drugie półrocze.

Nowym prenumeratorom możemy przesłać wszystkie numera od początku bież. roku.

Przypominamy, że **Kalendarz** możemy tylko wtedy wydać, gdy się zgłosi znacznie większa niż dotychczas liczba prenumeratorów.

Jeżeli tedy Szan. Czytelnicy chcą mieć nasz *Kalendarz,* niechże ze swej strony dołożą starania, aby zwiększyć liczbę prenumeratorów naszego pisma, inaczej *Kalendarza* wydać nie będziemy mogli.

Rozpoczynające się II-gie półrocze daje Szan. Czytelnikom dobrą sposobność do rozszerzania *Nowego Dzwonka,* i polecenia go swym znajomym.

Redakcya.

Żywot św. Benedykta Labre.

Święty Benedykt Labre urodził się w r. 1748, w małem miasteczku Amet, we Francyi. Rodzice jego nie byli wielkiemi bogaczami, posiadali zaledwie kilka mórg ziemi i mały sklepik z różnemi przedmiotami do jedzenia, ale wystarczało im to na utrzymanie, zwłaszcza, że żyli skromnie, stósownie do swego stanu.

W tym choć niezamożnym, ale pobożnym domu, wychowywał się Benedykt wśród licznego dosyć rodzeństwa, pod okiem matki, która była rzeczywiście pobożną kobietą, i od dzieciństwa wpajała w młodego Benedykta zamiłowanie do modlitwy i do cnoty.

Za to ją Bóg potem sowicie nagrodził, bo dożyła tej chwili, kiedy jej syna Kościół św. policzył w poczet »Błogosławionych«, choć nie doczekała się już *kanonizacyi*, czyli policzenia go w poczet »Świętych«, bo to stało się dopiero w 1881 r. 8 grudnia już za rządów obecnego Ojca świętego, Leona XIII, i po jej śmierci.

Święty Benedykt Labre z natury był usposobienia dość żywego, ale w miarę jak wzrastał stawał się coraz uleglejszym rodzicom, i tak był posłusznym, że prawie odgadywał ich myśli i zamiary. Pierwsze wyrazy, jakie wymówił, były przenajświętsze imiona Jezusa i Maryi, a skoro na dobre mówić zaczynał, wyuczono go pacierza.

Już w piątym roku życia umiał czytać, i wtedy największą było dlań pociechą odmawiać z książeczki modlitwy do Najświętszej Panny. Pobożność jego była coraz widoczniejszą, to też cieszyli się bardzo takiem dzieckiem rodzice, i dalej je w pobożności utwierdzali.

Gdy Benedykt podrósł, posyłali go do szkoły, do której uczęszczał chętnie i uczył się bardzo dobrze, bo był i zdolny i pilny nadzwyczaj. Hałaśliwych zabaw swoich towarzyszy szkolnych unikał, a niekiedy upominał ich oględnie a z miłością wielką, by się w nich nie zapominali. Wszyscy też koledzy szanowali go i lubieli powszechnie.

Wolne chwile od nauki obracał na modlitwę i kiedy tylko mógł spieszył do kościoła przed Najśw. Sakrament. Aby uniknąć niepotrzebnych rozmów z kolegami, wychodził ostatni ze szkoły, a wracał prędzej do domu niźli inni.

Już od tej pory okazywał on szczególne nabożeństwo do Najświętszego Sakramentu Ołtarza, i za najszczęśliwszego się uważał wtedy, gdy mógł służyć do Mszy świętej. Rodzice nacieszyć się nim nie mogli, a dla młodszych braci i sióstr, stawał się Benedykt żywym przykładem pracowitości, posłuszeństwa, skromności i świętej bogobojności.

Dowiedział się o nim jego stryj, który był Proboszczem w parafii Eryńskiej. Widząc w nim takie przymioty i pobożność, zabrał go do siebie w celu nauczenia go po łacinie i innych nauk, dla przygotowania go do stanu kapłańskiego.

Młody Benedykt uczył się gorliwie, pojmował łacinę nader łatwo, czytał już nawet różne książki pisane w tym języku, ale mimo tej nauki nie stracił nic na pobożności dawniejszej, a najmilszą dlań zabawą było czytanie książek religijnych, które były w bibliotece, czyli w składzie książek jego opiekuna.

Kiedy przeczytał książkę o piekle i małej liczbie wybranych, tak się tem przeraził, że już wtedy postanowił wieść życie pokutnicze, a gdy razu pewnego stryj spytał się go o treść owej

książki o piekle, Benedykt opowiedział ją i dodał: »Gdyby jedna tylko dusza miała być potępioną, czyż każdy nie powinien obawiać się, aby nią nie był?«

Nie czując się powołanym do stanu kapłańskiego, zaczął mniej oddawać się naukom, a za to więcej czytał książki pobożne i częściej oddawał się rozmyślaniu i modlitwie. Parafianie tameczni bardzo go szanowali i kochali, nazywali go nawet *małym proboszczykiem*, ciesząc się nadzieją, że kiedyś Benedykt po stryju obejmie parafię. — Boć istotnie było go za co lubieć, dla jego uprzejmości dla wszystkich, i dobrego przykładu, jaki z siebie dawał młodzieży całej parafii.

Cieszył się tem bardzo jego stryj-proboszcz, i utwierdzał się w przekonaniu, że Benedykt poświęci się stanowi kapłańskiemu. Ale razu pewnego wyznał mu Benedykt, że nie czuje w sobie powołania do tak wysokiego stanu, i że chce wstąpić do zakonu Trapistów, by prowadzić życie czysto pustelnicze i bogomyślne. Światły Proboszcz nie śmiał mu tego odradzać, ale że Benedykt nie był jeszcze pełnoletnim, bo liczył zaledwie 15 lat życia, więc go odesłał do rodziców. Gdy Benedykt powrócił do domu, prosił ojca i matkę o pozwolenie udania się i wstąpienia do zakonu Trapistów. Atoli tego pozwolenia nie otrzymał, bo ojciec chciał, by Benedykt był świeckim księdzem, matce zaś krajało się serce gdy pomyślała, jakie to ciężkie umartwienia, prace i posty czekałyby jej tak młodziutkiego i delikatnego syna w tym bardzo ostrym zakonie. Prośby jego i przedstawienia nic nie pomogły, rodzice żądali aby wrócił do stryja i dalej się uczył. Posłuszny Benedykt spełnił to życzenie rodzicielskie i znowu cały rok przeszło bawił u stryja, oddając się, jak poprzednio, naukom, modlitwie, czytaniu książek religijnych i spełnianiu dobrych uczynków.

W tym czasie wybuchło w owej parafii morowe powietrze, a Benedykt dzień i noc obsługiwał chorych. Stryj jego, który chorych zaopatrywał, umarł z tej zarazy, a po jego śmierci Benedykt pozostał tam jeszcze tak długo, dopóki panowała zaraza, potem wrócił do rodziców.

Oprócz zmarłego stryja-proboszcza, miał Benedykt jeszcze i wuja, który również był Proboszczem, a na imię mu było Wincenty. Otóż rodzice posłali go teraz do owego wuja, myśląc, że on go skłoni do wstąpienia do seminaryum duchownego.

Atoli Benedykt trwał przy dawniejszem swojem postanowieniu, i kiedy doszedł do pełnoletności wstąpił do zakonu, nie Trapistów, ale Kartuzów, a to wskutek rady swego wuja, który mu wytłumaczył, że ponieważ matka uważa zakon Trapistów za ostry dla niego, to niech obierze sobie zakon Kartuzów, którzy mniej ostry prowadzą żywot.

Teraz już dali mu rodzice błogosławieństwo i młody Benedykt udał się do klasztoru. Ale, jak widać, inne były zamiary Boże względem niego, bo z owego klasztoru wnet go wydalono, nie, broń Boże, dla jakiegoś złego zachowania się, gdyż był wzorem cnoty dla wszystkich zakonników, ale że nie widziano w nim powołania do tego stanu. *Dokończenie nastąpi.*

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Przez Sta.

(Ciąg dalszy).

III.

Dwa tygodnie, które pani Starkowska przeznaczyła na pobyt u brata, przeszły tak prędko dla kochającego się gorąco rodzeństwa, że ks. Aleksander uprosił siostrę, aby jeszcze drugie dwa tygodnie została.

Lecz i te zbliżały się znowu do końca i pani Joanna, lubo z żalem, zaczęła sposobić się do powrotu.

Na cztery dni przed jej wyjazdem, zawołano pewnej nocy ks. Wrotnowskiego do chorego. Upłynęła jedna, druga, trzecia godzina a Proboszcz nie wracał. Już troskliwa siostra zaczęła być niespokojną, gdy nad ranem wrócił ks. Aleksander do domu, lecz dziwnie smutny i posępny.

— Na Boga! Cóż ci to bracie? Czy się stało jakie nieszczęście? — pytała niespokojnie pani Joanna, skoro ksiądz wszedł do pokoju.

— Osobiście nic mnie nie dotknęło, ale boleję bardzo nad śmiercią jednej z moich parafianek. Udzieliłem jej właśnie ostatnich Sakramentów i nie opuściłem aż skonała, bo mię o to prosiła.

— Tu, w miasteczku umarła ta osoba?

— Tak jest. A prawda! I ty już coś słyszłaś o niej. Przypominasz sobie tę dziewczynkę, która to tak cię ujęła pochwaleniem Pana Boga?

— Co? to śliczne dziecko umarło?

— Nie ono samo, ale jego matka. Zdaje mi się, że ci mówiłem o nieboszczce? Była to kobieta bardzo prawa, wykształcona i pracowita, ale nieszczęśliwa.

— Wspominałeś mi, że to wdowa po tutejszym lekarzu.

— Tak. Dzielnym człowiekiem i sławnym lekarzem był doktor Stroiński, ale... trochę nieopatrznym... Wszystko rozdał, co

miał. Żonę pozostawił bez grosza, ale to odważna była kobieta i umiała sobie radzić... chociaż może właśnie ta natężona praca sprowadziła jej śmierć przedwczesną. A co się teraz z Anielcią stanie doprawdy nie wiem. Trudno mi ganić miłosierdzie nieboszczyka doktora, ale jednak... skoro się ma rodzinę... strasznie był nieopatrzny człowiek, już to trudno.

Pani Starkowska uśmiechnęła się, bo ks. Wrotnowski był tak samo nieopatrzny i nigdy nic nie miał; a gdyby kochająca siostra nie pamiętała o bieliznie i garderobie, chodziłby bez jednej i drugiej.

Pani Agata, która zajmowała się domem Proboszcza, a kiedyś była powiernicą jego matki, ile razy bieda była w domu, spisywała długą listę różnorodnych potrzeb i posyłała ją do Starkówca, a niebawem przychodziły pieniądze od pani Joanny i gorące jej prośby, aby pani Agata nie żałowała grosza i ukochanemu księdzu bratu na niczem nie zbywało.

Teraz słuchając narzekań ks. Aleksandra na nieopatrzność doktora Stroińskiego, spytała:

— A rodziny, któraby się sierotą zaopiekowała, nie miał doktor lub jego żona?

— Ja nie wiem o żadnej. A żal mi tego dziecka, ale rady nie mogę wynaleść. Myślałem, żeby Anielcię oddać na pensyą dla ukończenia nauk, mogłaby potem na siebie pracować, lecz utrzymanie na pensyi strasznie wiele kosztuje. Tym dwom zaś chłopcom, też nie mogę teraz powiedzieć: nie będę na was płacił, bo mam inne wydatki!

— Jakim chłopcom?

— Ot, jeden zupełny sierota, sam go utrzymuję w gimnazyum w Poznaniu; drugiemu ojciec dopomaga, ale tam dzieci dużo a chleba mało, nie można też na starego bardzo patrzeć.

Pani Starkowska chciała coś odpowiedzieć, lecz wtem wpadła z wielkim płaczem stara Jacentowa, służąca zmarłej doktorowej i wołała, aż się po całym domu rozlegało:

— Ach! poganie, krzywdziciele, zdziercy! Ratuj księże Proboszczu! Toć te niegodziwe dusze nie dadzą mi pochować pani w jej własnej sukni, ale wszystko pragną zagrabić!

Po długich wypytywaniach ze strony Proboszcza i jego siostry, a strasznych lamentach i wyrzekaniach Jacentowej, dowiedział się ksiądz nareszcie, że dłużnicy przyszli do mieszkania pani Stroińskiej i wszystko, co po niej pozostało, obłożyli aresztem.

— A Anielcia co robi? — spytał ksiądz.

— Śpi jeszcze nieboże; ledwom tych natrętów odstraszyła od jej łóżeczka. Lecz jak się obudzi, co ja pocznę z tą biedną

sierotą, co pocznę; przecie jej nie mogę utopić! — wołała, załamując ręce i płacząc rzewnie, biedna Jacentowa.

— Tu nie ma innej rady, tylko trzeba wziąć dziewczynkę tymczasem na probostwo, a po pogrzebie obmyśli się coś dla niej.

Tak powiedział ksiądz Aleksander i tak się też stało. Anielcia zamieszkała tymczasem w jego domu. Pani Starkowska sprawiła sierocie i Jacentowej żałobę i troskliwie zajmowała się dziewczynką, która z każdym dniem, niemal z każdą godziną przypadała więcej do serca pani Joannie.

Aż gdy po pogrzebie i załatwieniu interesów majątkowych zmarłej, pokazało się, że Anielce tylko to zostało, co jej pani Starkowska sprawiła, biedny Proboszcz wziął się za głowę, bo i u niego, jak zwykle, były szczere pustki w kasie.

— Co to za szkoda Joasiu — rzekł do siostry — że ty jutro odjeżdżasz. Lecz musisz jechać, musisz, sam to widzę. Władyś byłby niespokojny i gotów mieć żal do mnie, żem mu matkę zabrał na tak długo, ale zawsze szkoda, że odjeżdżasz. Tyś jedyna do rady i we dwóch bylibyśmy, może prędzej coś uradzili.

— Co się tyczy mego odjazdu, to rzeczywiście jechać muszę — odparła pani Starkowska — ale co do rady, to tę już znalazłam i sądzę, że i ty się na nią zgodzisz, tak samo i Anielcia, oto postanowiłam wziąć ją ze sobą.

— Jakto? Chciałażbyś łożyć na wykształcenie sieroty? Ach! siostrzyczko, Pan Bóg ci to miłosierdzie nagrodzi, tobie i twojemu synowi. Zresztą Anielcia tak dużo umie, że edukacya jej nie potrwa zbyt długo; za jakie cztery lata będzie mogła na siebie pracować. Przyjm już naprzód moje podziękowanie Joasiu, bardzo mnie uszczęśliwiłaś twojem postanowieniem.

— Lecz ty mnie nie zrozumiałeś bracie! Ja nie chcę łożyć na wykształcenie Anielci, aby niebawem puścić ją w świat za chlebem, ale pragnę wziąć ją jako córkę do mego domu; dać jej odpowiednie stanowi wychowanie i wykształcenie, a wreszcie wydać za mąż i wyposażyć wedle możności.

Ksiądz Wrotnowski patrzał zdumiony na siostrę. Znał on doskonale jej zapatrywania w tym względzie i wiedział, że lubo miłosierna bardzo i czyniła wiele dobrego, otwarcie mówiła, iż nigdyby nie miała odwagi wychować obcego dziecka, że wielkie trudności i przykrości z tem połączone, odstraszają ją.

— Co innego — mawiała pani Joanna, ilekroć była mowa o wychowaniu cudzych dzieci — dać pieniądze, ale inna rzecz dać swój czas, siebie samą, własne serce, i dać to wszystko za darmo, bo nie zawsze wychowańcy odwdzięczają się swoim dobroczyńcom, tym, którzy mieli starania o ich młode lata i poświęcali im

to, co człowiek ma najdroższego, bo wolność osobistą. To jest tak wielką cnotą, że ja się za małą do niej czuję.

Pani Starkowska mając gorące, szlachetne serce, wzdrygała się na samą myśl o tem, że może dziecko, któreby wychowała, odpłacając się niewdzięcznością, srodzeby ją zraniło; więc nie miała odwagi narazić się na to. A może też kochając niezmiernie syna, nie chciała dzielić macierzyńskiej miłości pomiędzy niego i inne dziecko.

To też dając znaczne sumy na sieroty, nigdy osobiście nie zajmowała się niemi. Ks. Aleksander wiedział o tem, więc milczał długo, aż nareszcie rzekł bardzo poważnie:

— Nie chcę ja cię Joasiu odwodzić od uczynku, który ci zjedna wielką zasługę u Boga, ale znając twoje zapatrywania, powinienem ci zwrócić uwagę, że daleko częściej spotyka się niewdzięczność jak wdzięczność. Że często dzieci, które nie mają wdzięcznego serca, wynajdują tysiąc wad i błędów u tych, którzy je wychowują i świadczą im dobrodziejstwa, aby choć w ten sposób wytłomaczyć swoje nikczemne niewdzięczne serce. Nie mówię, aby Anielcia miała być tak złą, Boże uchowaj! Ale obawiam się, zebyś później, gdy minie pierwszy zapał, nie żałowała dzisiejszego postanowienia.

— Nie, kochany bracie, Anielcia jest prawdziwie pobożnem dzieckiem, a kto jest pobożny, ten niewdzięcznym być nie może.

— Prawda. Ale cóż powie Władyś, gdy zechcesz dzielić nietylko majątek, lecz i twoje macierzyńskie serce, które dotąd on sam posiadał?

— Władyś jest szlachetnym młodzieńcem, więc nie będzie zazdrościł sierocie.

— Widzę, że twoje postanowienie jest niezmienne; niechże ci Bóg błogosławi Joasiu.

— Powiem ci już całą prawdę braciszku. Przed niedawnym jeszcze czasem, niktby mnie nie zdołał nakłonić do zaopiekowania się obcem dzieckiem, a cóż dopiero do przybrania za własne! Ale Anielcia podbiła mnie zupełnie już od pierwszego spotkania, i to tem pochwaleniem Pana Boga, jej wdzięczny głosik dotąd mi brzmi w uszach; ucieszył mnie zaś tak bardzo, bo usłyszałam go właśnie w chwili, gdy całem sercem bolałam nad zepsuciem polskich dzieci.

Nazajutrz pociąg, pędzący w stronę Krakowa, unosił wraz z Panią Starkowską i starą Jacentową, zapłakaną Anielcię.

Pożegnała ona serdecznemi łzami groby rodziców, rodzinne miasteczko i to wszystko, co jej dotąd było najdrozszem, a teraz oto dąży w daleką nieznaną przyszłość, pytając się siebie ze smutkiem:

— Jaka też będzie ta przyszłość? I co mi przyniesie szczęście czy niedolę? Lecz nie trzeba tracić nadziei, Bóg nad sierotami! *Ciąg dalszy nastąpi.*

Jak się odbywał obrzęd koronacyjny w Polsce.

W naszej przeszłości chowa się tyle obrazów, tyle drogich wspomnień — że dość spojrzeć na nie, dość je potrącić mimochodem nawet — a dusza polska tak je zaraz polubi, tak przylgnie do nich, że je nie oderwać od nich, że jej nie powieźć materyalizmu drogą. A przecież i te obrazy z przeszłości, uderzające ciepłem, nacechowane miłością ojczyzny i domu — i te obrazy, mówię, otulone wiekową zasłoną, zaczynają coraz to więcej chować się do trumien, zaczynają coraz to więcej niknąć z polskiej ziemi. Historycy nasi nie troszczą się niemi — ich zdaniem mały to przedmiot — inni zaś... ej! lepiej zamilczeć. Przemija więc przeszłość nasza, jakby snem prześniona...

Lecz nam jej nie pomijać obojętnie; każdy bowiem obrazek lub scena z minionych wieków naszego życia, dorzucony do wypadków politycznych narodu, niewątpliwie przyczyni się do złożenia pełnego przeszłości obrazu, które, razem wziętę, przedstawią Polskę taką, jaką była domowo i politycznie, jaką była u siebie i na zewnątrz. Tą też powodowani myślą, podajemy obrzęd koronacyjny, który zarazem rzuca światło na familijny niejako stosunek polskich mieszczan do panującego.

Było narodowym zwyczajem w Polsce, że nowy król szedł po koronę przez pogrzeb swego poprzednika. — Pierwej własnemi rękami grzebał zmarłego monarchę, zanim ujął miecz Chrobrych i uczuł koronę na głowie.

Zdaje się, że mądrzy dziadowie nasi chcieli tym sposobem zwrócić uwagę nowo wybranego króla na tę okoliczność, iż władza, jaką mu Bóg powierza, nie jest wieczystą, że po za nią czeka go sąd Boży i zimna mogiła, owiana dobrem lub złem wspomnieniem narodu i historyi, wedle tego, jak rządy sprawował. Po odbytym dopiero pogrzebie zaczynał się obrzęd koronacyjny.

Uroczysty, ceremonialny wjazd elekta czyli wybranego na króla do stolicy, zazwyczaj nader świetny i szczerością owiany, jako wynikający z głębokiego przekonania wolnego narodu, stanowił przejście od pogrzebu do koronacyjnego obrzędu.

A brali udział w owym pochodzie nietylko dostojnicy Kościoła i państwa, dygnitarze, otoczeni licznemi zastępy rycerstwa,

lecz i mieszczaństwo Krakowa i Kaźmierza, nie szczędząc na ten cel znacznych nawet wydatków.

Stawiano przeto kosztem miasta łuki tryumfalne, oświetlano bramy i gmachy publiczne, sprowadzano z różnych stron Polski najlepszych muzykantów, aby na trąbach i surmach uprzyjemniali wjazd monarchy.

Na wjazd n. p. Henryka Walezyusza brama kanonicza, którą wjeżdżał, cała była w ogniach, na szczycie jej siedział orzeł biały sztucznie zrobiony, ten rozwinąwszy skrzydła aż do samej ziemi, schylił głowę przed królem. Podobneż orły były w bramie zamkowej i innych... — a powietrze drżało od huku strzelających dział i bicia ogromnych dzwonów.

Taki wjazd miał też Jagiełło, tak wjeżdżał do odwiecznego Krakowa Stefan Batory i inni królowie.

Pierwsze kroki do koronacyi zaczynał król od Boga, wedle panującej u nas zawsze katolickiej religii i zwyczaju narodu, który nic bez Boga nie poczynał.

Przepędzał zatem dzień jeden na modlitwie, postach i jałmużnie, przygotowując się tym sposobem do godnego przyjęcia korony. Prócz tego zwiedzał pieszo grób świętego Stanisława na *Skałce*, prosząc go jako patrona Polski o przyczynę, o wyproszenie łaski i pomocy w sprawowaniu godności urzędu, który niezadługo ma otrzymać z rąk Prymasa państwa i woli narodu.

Pielgrzymkę zaś ową i modlitwy i chrześcijańskie uczynki sprawował w towarzystwie senatorów świeckich i duchownych, wobec tłumów krakowskiego mieszczaństwa, co na każdym kroku witało nowego monarchę wyrazem szczęścia, okrzykami radości i szczerego wesela.

Cieszył się też król niezawodnie z tych oznak życzliwości, i pojmował pewnie jednocześnie, że winien być ojcem swego ludu, co go tak wita szczerze i tyle niekłamanego uczucia objawia dla niego.

W takiem tedy otoczeniu i w błogiem uczuciu podążał król na odwieczny Wawel, co wzniósłszy się ponad modrą wstęgę naszej ukochanej Wisły, dumnie spoziera na okoliczne łany, sięgając wzrokiem niebotycznych Tatrów i Niepołomickiej puszczy. Tu stanąwszy, wstrzymuje się u bram kościoła.

Zjawia się zaraz Prymas państwa w towarzystwie dwóch Biskupów, z kadzidłem i wodą święconą, a pokropiwszy elekta, bierze go za rękę i wprowadza do wawelskiej świątyni, przybranej świetnie, stósownie do okoliczności aktu, którego ma być niezadługo świadkiem.

A jakież to było przybranie wawelskiej świątyni? Oto, jak nam różne zapiski mówią, nawy kościoła przybrały się jak naj-

wspanialej, a przed ołtarzem i po różnych punktach domu Bożego widziałeś pozatykane sztandary i znaki, zdobyte na nieprzyjacielu. Sztandar Moskwy, Krzyżaka lub tureckie buńczuki dodawały blasku całemu obchodowi, orzeł zaś biały, co zawisł nad tronem, zdawał się tylko upatrywać stósownej chwili, by wylecić na otwarte niwy polskie i pociągnąć za sobą nowego monarchę na pola wawrzynów i narodowej chwały.

Tron dla nowego króla wznosił się tuż po prawej stronie wielkiego ołtarza. Bywał on cudnie pięknej roboty; zacząwszy bowiem od ciężkiej złotogłowej materyi aż do złota, srebra i drogich kamieni, wszystko to razem składało się na różnego rodzaju hafty, co niby płaskorzeźba znaczyły się na jego falistych zgięciach lub samym baldachimie.

Król w towarzystwie senatorów zostaje tedy wprowadzony przez Prymasa i dwóch Biskupów do stopni ołtarza. Skoro tylko uklęknie, Arcybiskup kropi go wodą święconą i okadza z turybularza, a potem modli się nad nim, prosząc Boga niebios i ziemi, aby książęciu, którego na królestwo to przeznaczył, dał zwycięstwo nad nieprzyjacioły wszystkiemi, pokój na ziemi i w niebie.

Modlitwa się kończy, a ciągle słyszysz śpiew hymnu, w którym Bóg Anioła swego zsyła na ziemię, wykonany przez wdzięczne głosy małych chłopiąt, poważne zaś dzwony, co osiadły w poczerniałych wiekiem wieżycach świątyń Krakowa i wawelskiej skały, brzmią uroczyście, jakby chciały całemu narodowi o akcie owym oznajmić.

Jeszcze ich głos nie zamilkł, jeszcze drgają ich serca, a tu dygnitarze królestwa składają na ołtarzu insygnia, mające dostojeństwo i władzę nowego monarchy oznaczać.

Insygnia zaś owe, to droga pamiątka narodu. Widzisz koronę Chrobrego, co od Ottona Wielkiego dostała się pierwszemu z naszych Bolesławów. Obaczysz włócznię św. Maurycego, pierwsze berło polskie, ujrzysz i miecz, co się *szczerbcem* zowie, okryty znakami czterech Ewangelistów, którym nasze Bolesławy dokazywały cudów waleczności pod murami dalekiego Kijowa, spostrzeżesz wreszcie z krzyżem złote jabłko, na którem ryty okrąg świata. Takiemi więc insygniami koronowali się nasi królowie, zacząwszy od Chrobrego, aż do nieszczęśliwej Stanisława Augusta pamięci. A gdzie się one dzisiaj znajdują? trudno nam odgadnąć — znikły z polskiej ziemi razem z politycznym upadkiem narodu, lecz są w wiernym polskim ręku.

Po złożeniu insygniów na ołtarzu Biskup krakowski rzecze do Prymasa.

— Wielebny Ojcze, Kościół, Matka nasza, żąda, abyś książęcia tego wprowadził na tron królewski!

Wtedy Prymas powstawszy, zaczyna mowę do króla, w której tłumaczy mu doniosłość urzędu, jaki Bóg nań wkłada i przypomina obowiązki, ciążące na tym, co ma rządzić narodem.

Piękne też bywały tego rodzaju przemówienia: mowca przywodził na pamięć słuchaczowi najświetniejsze czyny narodu i dawniejszych jego królów, nie pomijając jednocześnie przykładów z obcej historyi czerpanych, zachęcał przytem nowego króla do naśladowania cnót narodowych i śmiałego podjęcia oręża w każdej potrzebie, kiedy tylko wiara i ojczyzna zażąda, w końcu zaś podniesionym głosem zapytywał:

— Będzieszli trzymać się wiary Chrystusa i bronić jej w każdej potrzebie?

Król odpowiadał przyrzekając, następnie klękał, a w chwili, kiedy Prymas go błogosławił, rozlegał się po nawach świątyni uroczysty chór: *Te rogamus, audi nos*, uderzono w bębny i kotły, a dzwony rozlewały w koło melodyę, wśród której słychać drżący a potężny głos Zygmunta, co zdaje się całą przeszłością przemawiać do nowego monarchy.

W tejże chwili podają *Pakta konwenta*, t. j. punkty ugody między narodem i królem. Więc król, przyklęknąwszy, wobec całego orszaku dostojników państwa i jego reprezentantów składa na nie przysięgę.

Nie przytaczamy jej tutaj, ponieważ treść onej często zmieniała się względnie do okoliczności, chyba tu jedynie nadmienimy, że Kościół stał zawsze na pierwszym planie w rocie przysięgi królewskiej; — ztąd też w czasach, kiedy luteraństwo szerzyło się i u nas, przychodziło niekiedy do starć w chwili zaprzysięgania *paktów*, pomiędzy senatorami katolickiego obrządku a reformowanego kościoła.

Tego rodzaju zajście wszczyna marszałek wielki koronny Firlej z okazyi, iż w rocie przysięgi na *pakta konwenta* pominięto luterskie wyznanie, wskutek czego Henryka Walezyusza, po uczynieniu zadość żądaniu marszałka, Prymas koronuje powtórnie, ale już inną, nie Chrobrego koroną.

Dokończenie nastąpi.

Do czasu dzban wodę nosi.

Imć pan Marsowski, chociaż okrutnie srogo wyglądał, chociaż opowiadał o swoich czynach tak straszne rzeczy, że aż włosy dębem powstawały, nie był jednak rzeczywiście takim zuchem i takim dzielnym rycerzem, jak wszyscy myśleli.

Był to jeden z tych ludzi, co to całą odwagę, dzielność i rycerskość na języku tylko mają.

Mówić, a raczej chwalić się, nikt pewnie lepiej od niego nie umiał — słuchając go, każdy się upewniał, że to był rębacz tak zawołany, że bez niego żadna wojna obejść by się nie mogła.

Tymczasem Imć pan Marsowski zamiast odwagi miał szalone szczęście, któremu głównie zawdzięczał, że tchórzostwo jego na jaw nie wychodziło. — A to ślepe szczęście uczyniło go wyśmienitym łgarzem.

Nie mając żadnego majątku ani zajęcia, puścił się w podróż i zajeżdżał do różnych dworów, gdzie go fetowano i goszczono i gdzie rozpowiadał o sobie historye niestworzone!

Tym więc sposobem dobrze mu się powodziło — bo wyjechawszy z jednego dworu, zajeżdżał do drugiego, z drugiego zaś do trzeciego, i tak dalej.

Pewnego razu zajechał do Imć pana Chlebowicza, który powitał go mile i serdecznie jako gościa, a że to była godzina wieczerzy, pani domu zaprosiła ich do stołu, podano indyka pieczonego, wyborne zakąski i doskonałe wina różnego gatunku.

Podjadłszy i podpiwszy sobie nie źle, pan Marsowski, dalejże pleść zaczął niestworzone rzeczy o sobie!

Nikt mu nie przerywał ani jednem słówkiem, bo i któżby to uczynił, kiedy on prawił o Turkach i Tatarach, których bez miłosierdzia rąbał i to tak zawzięcie, że z trupów ich góry potworzył. Wspomnieliśmy już na początku, że Imć pan Marsowski umiał dobrze i gładko mówić, nikt przeto dziwić się nie będzie, że takie wierutne kłamstwa wzięto za szczerą prawdę.

— Hej! hej!... — rzekła gospodyni domu — takim być rycerzem to miło. Musiała też i nagroda sowita przypaść waszmości.

— Ach to pewnie! — odrzekł z zadowoleniem Marsowski. — Nagroda była i to nie jedna... ale jaka! Najprzyjemniejszą jednak nagrodę otrzymałem panie w Konstantynopolu. Razu pewnego wpadła mi tam do rąk jakaś księga panie, a że ja po turecku tak czytam, jakby po polsku, więc zasiadłem do niej i wyobraźcie sobie państwo, od pierwszej do ostatniej karty, wyczytałem same okropności wypisane o pewnym rycerzu polskim, który ich mordował jakby jaki zwierz dziki. Naturalnie, że tym rycerzem byłem ja. Wyraźnie czarno na białem moje nazwisko tam figurowało.

— Nie ma co mówić, przyjemność to była nielada — rzekł gospodarz domu. — A czy jegomość nie miał czasem jakich przepraw ze strachami, ze złymi duchami?

— Ha! to dla mnie furda panie! Mam ci ja takie lekarstwo, że takie strachy, upiory i duchy nieczyste uciekają odemnie jakby oparzone!

— Lekarstwo? Cóżby to było za lekarstwo?

— Ano co, świętości panie bracie! relikwie, którymi w dowód wielkich moich zasług Ojciec święty mnie obdarzył.

— I waszmość ma je ciągle przy sobie?

— Relikwie?

— Aha!

— Juści, że mam. Ja się panie z nimi nigdy nie rozłączam, bo człowiek wiedzieć nie może, co go spotka za godzinę.

— A, to cię chyba Pan Bóg do nas sprowadził — zawołał uszczęśliwiony gospodarz.

— Jakto, co, dlaczego?

— Powiem krótko i węzłowato. Oto jakaś pokutująca dusza nie daje nam od pewnego czasu spokoju. Nic nie pomaga, ani poświęcenie komnaty, ani modlitwy. Codziennie, jak tylko północ nadejdzie, straszny brzęk łańcuchów i jęki grobowe rozlegają się po całym domu. Cierpieliśmy dotąd, ale gdy Pan Bóg zesłał waści do nas, jesteśmy pewni, że nas wyratujesz z kłopotu.

Słysząc to imć pan Marsowski, zbladł ze strachu jak ściana, bo każdy się domyśli, że historyjka o relikwiach była skomponowaną dla większej jego sławy — a duchów pokutujących bał się tak okropnie, że z domu, w którymby się one pojawiły, uciekałby choćby boso i na koniec świata!

— A tom sobie kłopotu narobił — szepnął sam do siebie.

Po chwili milczenia rzekł zmienionym głosem:

— A cóżbym ja na to mógł poradzić?

— Co? bardzo wiele — rzekł gospodarz domu.

— W tej komnacie będziesz waszmość nocował, i relikwiami swemi wystraszysz nam ducha.

To mówiąc, zaczął gościa swego ściskać i całować i tym sposobem nie dał mu przyjść do słowa.

Pan Marsowski więc milczał, ale tymczasem myślał, jakby się z honorem mógł z tego wywinąć.

Nie mogąc jednak nic mądrego wymyśleć, postanowił cichaczem wsiąść na konika i czmychnąć ze dworu.

Przyniesiono gąsiorek miodu — pito na pomyślność wyprawy tak ochoczo, że Imć pan Marsowski dobrze już rozmarzony trunkiem, dał się zaprowadzić do nieszczęsnej komnaty, gdzie sobie usiadł w krześle, rozmyślając nad ucieczką.

Nie łatwa to jednak rzecz była do wykonania. — Gdzie szukać stajni? — którędy dojść do konia? a gdyby go nawet i znalazł, mógłby się fatalnie narazić na urągowisko.

Zostać znów niebezpiecznie — bo jeżeli ten duch pokutujący będzie w złym humorze, i ni z tego ni z owego ukręci mu głowę ze złości?

Tak źle, i tak źle. — Oj, co tu robić? A wtem... Gwałtu!... słyszeć się daje jakiś brzęk łańcuchów, jakieś nieludzkie sapanie jęczenie i wzdychanie.

Drzwi się otwierają — pan Marsowski pada na kolana — bije się w piersi — słyszy, jak ten duch włazi do komnaty — czuje, że on przed nim stanął i stoi cierpliwie.

— Czeka pewnie, abym podniósł głowę, żeby mi ją łatwiej mógł ukręcić, ale niech sobie stoi, ja jej nie podniosę. Tymczasem kogut zapieje, duch odleci, a ja panie kopnę się z tego zaklętego dworu.

I pokrzepiwszy się tą myślą, jeszcze więcej wciska głowę pomiędzy ramiona.

Duch stoi, on klęczy — duch milczy i on milczy.

Wreszcie jedna okoliczność zastanowiła Imć Pana Marsowskiego. — Dojrzał, że duch jego miał na nogach buty czerwone, kontusz i karabelę.

— A cóż to za jakiś duch nowomodny? — szepnął sobie pan Marsowski — buty czerwone, kontusz i karabela, wszystko to jak przystało na brata szlachcica. Chryste Panie!... może to Twardowski!?

I znowu głuche zapanowało milczenie. — Aż wreszcie po chwili duch gromkim głosem przemówił:

— Podnieśże waszmość raz już głowę do góry, czekam i czekam i doczekać się nie mogę. Powstań wasze, siadaj, pomówimy z sobą.

Nasz rycerz podniósł więc głowę i ujrzał przed sobą żywego polusa z sumiastymi wąsami, który białą płachtę, co nią był okryty łańcuch żelazny, którym pobrzękiwał, odrzucił na stronę.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — zawołał odważnie pan Marsowski.

— I ja Go chwalę — odpowiedział przybyły.

— Czego żądasz duchu pokutujący — krzyknął jeszcze odważniej Marsowski.

— Żądam chwilki rozmowy z waszmością.

— Idź duchu, i zostaw mnie w pokoju!

— No, no — rzekł przybyły — widzicie przecież dobrze, iż duchem nie jestem.

— A kimże u licha?

— Sąsiadem Chlebowicza.

— Kogóż tedy straszycie?

— Jego.

— Za co?

— Za kawał gruntu. który mi odebrać pragnie.

— A grunt ten do waszmości należy?

— Pan Bóg tam wie do kogo on należy. Jam go dotąd używał, i ojciec mój go używał, a Chlebowiczowi coś do głowy strzeliło, i chce mi ten kawałek gruntu odebrać, grożąc mi procesem. Niedoczekanie jego! Gruntu nie oddam, i z domu go jeszcze wystraszę! Waszmość z tej całej historyi możesz zarobić pięćdziesiąt dukatów, notabene, jeżeli pokierujesz tą sprawą tak, że Chlebowicz dobrowolnie zrzeknie się tego gruntu na moją korzyść. Pięćdziesiąt dukatów, słyszysz waszmość?

— Nie zła sumka — szepnął Marsowski.

— Lecz gdybyś waszmość słówko niepotrzebne pisnął, gdybyś mi zepsuł tę sprawę, mam na was siarczyste lekarstwo, któregobyście do śmierci nie zapomnieli.

— No, no, będzie wszystko dobrze. Idźże wasze z Bogiem, a ja tymczasem obmyślę jakąś bajkę.

— Słowo szlacheckie, że mnie nie zdradzicie?

— Słowo szlacheckie, lecz któż wy jesteście?

— Sąsiad Chlebowicza, Bartłomiej Cisowski.

— Aha Cisowski.

— Więc zgoda!

— Zgoda!

Podali sobie ręce.

Mniemany duch okrył się płachtą, wziął do rąk łańcuch i wyszedł z komnaty.

Na drugi dzień Marsowski opowiadał dziwne i niepojęte rzeczy — opisywał ducha tak strasznie, że jejmość pani Chlebowiczowa aż trzy razy ledwie nie zemdlała, a mąż jej nie miał słów na pochwałę odwagi swego gościa.

— Bo to widzicie państwo — ciągnął dalej Marsowski — przed kilkudziesięciu laty umarł jeden z rodziny Cisowskich. Był on pochowany na tym jakimś gruncie, który, jak się dowiedziałem, pragniecie dla siebie wyprocesować. Zmarły ten powstał więc z grobu, i upomina was przezemnie, abyście gruntu tego nie pragnęli, bo inaczej, nie da wam nigdy spokoju.

— A niechże sobie z Bogiem spoczywa — zawołał Chlebowicz. — Zrzekam się gruntu i zaraz posyłam po Cisowskiego, aby się z nim formalnie ułożyć.

Przybył tedy Cisowski — sławny na całą okolicę zawadyaka — ułożono ugodę na piśmie i całą tę sprawę wesoło załatwiono.

Skoro więc Cisowski schował zapis do kieszeni, i uszczęśliwiony miał już wrócić do domu — przysunął się do niego Marsowski i rzekł cichym głosem:

— A co panie bracie gładko poszło hę?

— Ano gładko, bo co?

— Jakto, bo co!... nasza umowa?

— Hę? jaka umowa?

— Niby one pięćdziesiąt dukatów, któreście mi przyrzekli po załatwieniu sprawy.

— Kpisz waszmosć, czy o drogę pytasz? A toż ja waszmości nie znam! Któż wy jesteście, faktorem, czy polskim szlachcicem? Pięćdziesiąt dukatów, chyba pięćdzięsiąt bizunów!

— Cicho! cicho! — przerwał mu Marsowski. — Idź na złamanie karku potępieńcze! Cisowski też nie dał sobie tego dwa razy powtarzać — wsiał na konia i galopem odjechał, zostawiając ogłupiałego Marsowskiego, który sam sobie taką naukę wypowiedział:

— Dobrze mi tak, nie trzeba mi było łgać o relikwiach, a poźniej nie trzeba mi było wdawać się w niepoczciwą sprawę. Chciało mi się pięćdziesiąt dukatów i dostałem figę! Nawet zemścić się na tym krętaczu nie mogę, bo gdybym tylko słówko pisnął, wystrychnąłbym się na dutka! Dobrze mi tak, bardzo dobrze! Łgałem, łgałem, aż się dołgałem. Nie głupie to przysłowie, które powiada: »Do czasu dzban wodę nosi«.

Ze Szawła, Paweł.

Zdarzenie prawdziwe.

(Z listu, który nam przysłał p. J. Sladek).

Kiedy służyłem przy wojsku, zapoznałem się w Ołomuńcu z wielkim agitatorem i filozofem z czeskiej Pragi, który miał swoich przyjaciół w Kalifornii, a od których każdego roku otrzymywał listy. W listach tych opisane były złote góry i różne niestworzone rzeczy.

Po przeczytaniu każdego listu mój kolega był zawsze przez kilka dni smutny i bez humoru, bo go to kalifornijskie złoto jakoś uwodziło, a gdyby był miał skrzydła, toby wnet był frunął do Ameryki.

Kiedyśmy się czasem zeszli i siedli przy szklance piwa, tak do mnie mówił: »Nasze kraje są bardzo smutne i uciśnione, nie można się tu szczęścia spodziewać. Gdy więc wysłużę moje 12 lat przy wojsku, wezmę swój spadek po ojcu i pojadę do Ameryki, do ziemi wolnej i pełnej swobody. Tam taki wykształcony człowiek jak ja, może otrzymać posadę urzędową i dojść aż do stopnia prezydenta całej Ameryki. Jak mi się tam dobrze będzie powodziło, to napiszę po ciebie, abyś i ty przyjechał.

Za takie pochlebstwo podziękowałem mu, mówiąc: »pamiętaj o mnie, gdy będziesz w amerykańskim raju«.

Po wysłużeniu 3 lat przy wojsku, daliśmy sobie swoje adresy i rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę.

Przed Świętami Wielkanocnemi tego roku (1893) otrzymałem od wspomnianego kolegi list z Ameryki, tej treści:

»Kochany Kolego!

Wszelkie moje nadzieje, jakie sobie zakładałem w Ameryce, okłamały mię i bardzo zawiodły. Zamiast zostać prezydentem, zostałem niewolnikiem. Kiedy wyjechałem z domu miałem 1500 złr., które mi w Hamburgu skradziono, w czasie, kiedy już bilet miałem kupiony.

Podczas jazdy na morzu, szło mi jeszcze dość pomyślnie, lecz kiedy mię okręt wyrzucił na brzeg, ocknąłem się w najgorszej nędzy i rozpaczy. Grosza nie wiele przy mnie się znajdowało, a do moich znajomych był kawał drogi.

Jęczałem jako pelikan na puszczy i tęskniłem jak Napoleon na suchej skale w niewoli Anglików. Po kilku dniach błąkania mojego na obczyźnie, znalazłem nareszcie robotę w fabryce sukna, w której już 3 lata pracuję.

Po kilkodniowym pobycie tutaj, dowiedziałem się od właściciela fabryki, że do moich przyjaciół jest 100 angielskich mil drogi. Nie byłem więc jeszcze u nich, bo mi zawsze środków do podróży brakuje, a w takim stanie, w jakim jestem, moja natura mi nie pozwala, bo wiem, żeby się ze mną chłodno obeszli za nieposłuszeństwo moje.

Moi bowiem przyjaciele pisali do mnie przed wychodźctwem mojem do Ameryki, abym się udał wprzód do p. Teodora Mayerbergera, albo do Wieleb. ks. Proboszcza Prahara w Hamburgu, jako do zastępców towarzystwa św. Rafała i opiekunów emigrantów, czyli wychodźców do Ameryki. Im to miałem oznajmić mój zamiar, a oniby tak mną kierowali, żebym nie poniósł szkody na mojej kieszeni, duszy i ciele.

Lecz ja takich doradzców nie słuchałem, a raczej uwierzyłem niemieckim ajentom, którzy mi tak wszystko deklarowali i malowali, a ja, człowiek łatwowierny, uwierzyłem tym judaszom, aż dopiero gdy mi skrzydła spalili, dowiedziałem stę, że im nie był w głowie mój interes, ani moje szczęście w Ameryce, tylko chciwość zysku ze mnie, przybrała ich w owczą skórę.

Taki jednak wypadek nietylko się mnie przytrafił; jest tu bardzo wielu takich, którzy wpadli do takiej matni, a teraz narzekają na Kolumba, że on to wszystko narobił, bo po co Amerykę odkrył. Ja zaś nie narzekam na nikogo, tylko na siebie samego, nikogo nie obwiniam tylko siebie, i zawsze i wszędzie mówię: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina, przeto, że nie słuchałem poczciwych ludzi, którzy mi dobrze i po chrześcijańsku radzili, a że się ubiegałem za bogactwami obcemi, przeto mi P. Bóg moje własne odebrał. *Dokończenie nastąpi.*

O skowronku.

Skowronek jest nierozłącznym towarzyszem rolnika, i rozwesela go swym pięknym i dźwięcznym śpiewem całe lato, zachęcając go przez to do pracy.

Śpiewa on równie przed zorzą poranną jak i w spiekocie południa i przy zmierzchu wieczornym. Szczególnie zaś na wiosnę, gdy śnieg stopnieje, wydaje nam się rozkosznym śpiew skowronka, gdy go pierwszy raz usłuszymy. Wtenczas każdemu serce radośnie uderza, że smutna zima się kończy, a luba wiosna nastaje, której zwiastunem jest skowronek.

Przypatrzmy się bliżej skowronkowi. Trochę on większy od wróbla z ubarwieniem szaro-rudawem, z paskiem białawym około oczu. Dziób ma prosty i dosyć silny, na końcu nieco zagięty. Z tyłu nóg pazur długi, zagięty w łuk, nazwany ostrogą.

Pisklęta porosłe są żółtawym puchem, który w krótkim czasie ustępuje miejsca dla pierza. Często można spotkać skowronki z upierzeniem ciemnem, białem, rudawem i płowem. Takie skowronki żyją samotnie, bo ich nie cierpią inne skowronki, jako wyrodków. Nie mogą więc z innemi odlatywać pod zimę do ciepłych krajów, zostają u nas i giną od mrozu i głodu.

Skowronek zamieszkuje całą Europę i środkową Azyę. U nas przebywa do późnej jesieni, i dopiero wtedy odlatuje, gdy śniegi pokryją ziemię lub mrozy poczną mu dokuczać. Zazwyczaj skowronki odlatują w listopadzie wielkiemi stadami i lecą ku Indyom na wschód, oraz na południe aż na brzeg Afryki. Co kilka mil spoczywają, poczem lecą dalej parte innemi gromadami. Podróże te odbywają zwykle rano, choć wędrują też i w nocy przy świetle księżyca. Które z nich są słabe, lub nieporadne, albo leniwe i nie mające odwagi do tak dalekiej podróży, te pozostają na miejscu, i czasem uda się im przezimować, ale częściej giną z głodu i od zimna.

Nasz skowronek jest atoli dość wytrzymały w locie i szybko leci do cieplejszych krajów, ale nie na długo, bo tęsknota ciągnie go do ziemi rodzinnej.

Nie nęcą go ani urocze okolice ciepłych krajów, ani obfitość pokarmów. On tam tylko gościem, więc ani gniazdka tam nie zakłada, ani piskląt nie wychowuje. Woli on naszą, choć może smętną krainę, to też skwapliwie do niej powraca już z końcem lutego, kiedy jeszcze łany śniegiem zasłane. Z tego powodu muszą skowronki nieraz wiele przecierpieć, to też przenoszą się z miejsca na miejsce szukając pożywienia, znikają na jakiś czas i pokazują się powtórnie dopiero w marcu.

I w marcu nieraz skowronkom jeszcze głodno i chłodno, i w kwietniu tak samo, a jednak biedne ptaszęta już wesołe i swobodne, bo wróciły na rodzinną ziemię. Jeszcze nieraz wiatr płatkami śniegu pomiata, a już parka skowronków wyszukuje zacisznego miejsca na gniazdeczko.

Samiczka zbiera ździebiełka, znosi korzonki i plecie gniazdko, znosi jajeczka i siedzi na nich bez przerwy, choć ostry wiatr piórkami porusza. A samczyk, to szlachetny mąż i ojciec. Głodny a śpiewa, choć ochrypł od zimna. Szuka po polu ziarneczek, a donosi małżonce i karmi ją.

Skowronek jest bardzo ruchliwą ptaszyną. To lata, to biega, to nuci, to kłóci się i czubi, to znowu chwyta owady i rozgląda się na wszystkie strony. Przedewszystkiem zaś słynie skowronek oddawna z pracowitości, i »przez całą noc, przez dzień cały Pana Boga sławi«.

W pożywieniu stosuje się skowronek do pory roku. Znosi cierpliwie głód, lecz nie pogardza też i przysmaczkami. Z początkiem wiosny ma skowronek przednowek, bo owadów jeszcze niema, wtedy żywi się korzonkami trawy i oziminy, grzebie w nawozach, przewraca bryłeczki ziemi szukając w nich śpiących owadów. Później, gdy się pojawią muszki i robaczki, goni je, podskakuje za niemi i chwyta. Gdy zboże dojrzewa, szuka ziarna, szczególnie zaś smakuje mu owies.

Skowronek nie lubi słoty, wtedy zwykle smutnieje, cieszy się zaś, gdy się zbliża pogoda, i już zawczasu, choć jeszcze słotno, wylatuje wysoko i śpiewa, a to jest znakiem zmiany powietrza. Gdy w czasie słonecznym wzbije się pionowo w górę, aż znika w obłokach, a potem nagle na dół się spuszcza, wtedy można się domyślać, że pogoda potrwa dłużej. *Dokończenie nastąpi.*

Hej ramię do ramienia!

(Pogawędka).

O czem się naszym nietylko już pradziadom, ale i ojcom nie śniło, myśmy się tego doczekali. Mamy już swoje własne *stronnictwo chłopskie*, a z niem nadzieję, że potrafimy sobie wywalczyć jakąś lepszą przyszłość.

Dobrze to i bardzo pięknie, żeśmy się na to własne stronnictwo zdobyli, ale na co ono nam się przyda, jeżeli tylko chwalić się niem będziemy, a nie przystąpimy doń całą gromadą?

Takiemu stronnictwu wielkiej *siły* potrzeba, a tej siły nabędzie tylko wtedy, gdy chłopi jak jeden mąż staną pod jego cho-

rągwią. Niema się tu czego i kogo obawiać, skoro c. k. Rząd przez c. k. Namiestnictwo statuty tego stronnictwa już potwierdził. Wprawdzie dość długo trzeba było czekać na to potwierdzenie, ale bądź co bądź, potwierdzenie uzyskaliśmy.

Teraz więc nie pozostaje nam nic innego tylko do tego stronnictwa się zapisywać, tak, aby ono liczyło nie tysiące, ale setki tysięcy chłopów, to jest *wszystkich* włościan.

Powiem atoli, że za mało to jeszcze tylko się zapisać, bo takie stronnictwo — jak i każde inne — aby mogło działać ze skutkiem i z pożytkiem dla tych, dla których zostało utworzone, takie, mówię, stronnictwo potrzebuje także środków materyalnych, czyli pieniężnych.

Otóż każdy chłop powinien złożyć na ten cel taką kwotę jaką może. Bogatszy winien dać więcej, uboższy, na ile go stać, choćby i kilka centów, a i z tego dałoby się coś zebrać. Gdy stronnictwo nie będzie miało funduszów, to pozostanie tylko na papierze, a przeprowadzić niczego nie potrafi. To przecież każdy powinien pojąć.

Jeżeli więc piszę na początku: »Hej ramię do ramienia!« to mam tu na myśli nietylko to, abyśmy *wszyscy bez wyjątku* przystępowali do naszego stronnictwa, ale także, byśmy to stronnictwo *poparli materyalnie*.

Skorośmy tedy tę pracę zaczęli, to nie ustawajmy w połowie drogi, ale śmiało i z wytrwałością dążmy naprzód ku naszemu celowi!

Jeżeli bowiem założymy ręce i sami także pracować nie będziemy, to tem damy tylko dowód, żeśmy nie warci, aby życzliwi nam ludzie popierali naszą sprawę. Słusznie wtedy mogliby oni powiedzieć: »Szkoda tylko pracy dla naszego chłopa, kiedy on sam o sobie nie myśli i nie chce, by mu lepiej kiedyś było«.

Nie dajmy tedy powodu, by o nas tak powiedziano, i spieszmy zapisywać się i składać ofiary na cele naszego stronnictwa.

Jak już wiadomo, pisać w tej sprawie należy do p. Stanisława Potoczka w Rdziostowie, poczta Nowy Sącz.

Jędrzej z nad Wisłoka.

Piosnka Polaków w Ameryce.

Na nutę znanej narodowej pieśni: *Jeszcze Polska nie zginęła,* ułożyli sobie nasi Bracia w Ameryce, pieśń, odpowiednią do ich stosunków i pragnień. Piosnka ta brzmi:

Jeszcze Polska nie zginęła
Choć my za morzami.
Choć z oczu nam zniknęła
Lecz ją w sercach mamy.
Wraz, wraz, tylko wraz!
Gdy wolności przyjdzie czas,
Amerykę rzucim —
I do Polski wrócim!
Chociaż przedział nasz ogromny,
Choć tu wolność dana,
Polak żaden nie zapomni,
Że Matka spętana!
Wraz, wraz, i t. d. (jak wyżej).
Na sztandarach Orzeł biały,
Pogoń w szybkim biegu,
Gdy powstanie naród cały —
Stawim się w szeregu!
Wraz, wraz, i t. d., i t. d.
Dotrzymają wrogom kroku
Dzielne polskie syny —
Męstwo w sercu, zapał w oku,
W ręku karabiny!
Wraz, wraz, i t. d., i t. d.
Z karku zwalim ciężkie brzemię
Gdy staniem do pracy,
Związek, Unia, Zjednoczenie [1]) —
I w kraju rodacy!
Wraz, wraz, i t. d., i t. d.
Kto już dzisiaj nie ma wiary,
Że Polska powstanie —
Niechaj sobie czci dolary,
Od nas precz zostanie!
Wraz, wraz, tylko wraz!
Gdy wolności przyjdzie czas,
Amerykę rzucim —
I do Polski wrócim!

Listy do Redakcyi.

Z Ameryki.

Szanowna Redakcyo! W przeszłym liście wspomniałem, że tym, którzy opuszczają kraj rodzinny, a spieszą za morze szukać

[1]) Są to 3 główne polskie stowarzyszenia w Ameryce.

szczęścia, zagraża niebezpieczeństwo utraty Wiary św. i zupełnego wynarodowienia się. Właśnie *Niedziela* polski tygodnik, wychodzący w Detroit, wykazuje to samo w artykule: *Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych.* Artykuł ten przytoczę dosłownie:

»Przed stu laty było w Stanach Zjednoczonych tylko trzydzieści tysięcy katolików pod władzą jednego Biskupa. Dzisiaj jest około 9 milionów wiernych, a około 100 Arcybiskupów i Biskupów. Myliłby się bardzo, ktoby z porównania tych liczb chciał sobie wyrobić sąd o wzroście i rozwoju katolicyzmu w Stanach Zjednoczonych. Wziąwszy na uwagę imigracyę (t. j. przybyszów), która z dniem każdym się prawie powiększa, przekonamy się, że porównanie to wypadnie na niekorzyść katolicyzmu. Cała ludność Stanów Zjednoczonych wynosi obecnie przeszło 60 milionów Z tych blisko 16 milionów jest pochodzenia niemieckiego. A według obliczenia gazety niemieckiej: *die Stimme der Wahrheit*, trzecia część Niemców powinna być katolicka. Rocznie bowiem, jak powyższa gazeta podaje, przybywa do Stanów Zjednoczony około 50 tysięcy Niemców katolików. Z pomiędzy 20 milionów Irlandczyków, którzy zamieszkują Stany Zjednoczone, powinno być około 18 milionów katolików! A doliczmy do tego inne narodowości religii katolickiej jako to: Polaków w okrągłej liczbie $1\frac{1}{2}$ miliona, Francuzów, Włochów — a wypadnie w przybliżeniu, że liczba katolików w Stanach Zjednoczonych powinnaby wynosić około 25 milionów — tymczasem w rzeczywistości nie wynosi nawet 9 milionów.

Śmiało powiedzieć można, że liczba katolików w Stanach Zjednoczonych nie wzrasta, ale niestety *maleje* z dniem każdym. Smutny ten objaw pochodzi ztąd, że wielka część przybyszów, zwłaszcza Irlandczyków i Niemców szybko się amerykanizuje, a w ślad za tem dla Kościoła przepada zupełnie. Zamerykanizowani przybysze posyłają dzieci swoje do szkół publicznych, gdzie z utratą Wiary, tracą i narodowość.

Jedynie szkoły parafialne mogą temu przeszkodzić i powstrzymać nieszczęśliwy prąd wynarodowienia i utraty Wiary św. Oby wszyscy katolicy to zrozumieć chcieli«.

Tyle *Niedziela*. Dla wyjaśnienia sprawy dodam, że katolicy obok kościoła zakładają szkoły katolickie, które swym kosztem utrzymują. Katolicy, którzy dbają o to, by dzieci po katolicku były wychowane, nie posyłają dzieci do szkół utrzymywanych przez rząd, bo te szkoły są zupełnie bezwyznaniowe. Biskupi zebrani przed laty na konsylium w Baltimore uchwalili, że katolicy mają dla swych dzieci zakładać szkoły katolickie, tymczasem obecnie kilku Arcybiskupów starają się przekonać Ojca św., że dobrzeby było, gdyby Kościół zrobił ugodę z rządem, aby dzieci

katolickie w szkołach rządowych mogły w godzinach nadobowiązkowych uczyć się religii, by katolicy nie potrzebowali utrzymywać osobnych szkół, przez co ponoszą wielkie ciężary, bo muszą płacić podatki na szkoły publiczne, z których zupełnie korzystać nie mogą, a oprócz tego muszą z wielkim kosztem utrzymywać katolicką szkołę dla swych dzieci. Przeciw tej ugodzie z rządem są katolicy Niemcy i Polacy, bo obawiają się, że w szkołach publicznych dzieci przesiąkną obojętnością względem Wiary, a powtóre chodzi o to, że w szkołach tych nauka odbywa się wyłącznie w języku angielskim, zaś języka polskiego lub niemieckiego w nich uczyć nie wolno, przez co dzieci zupełnieby się wynarodowiły. Podobnoś Ojciec św. ma wydać encyklikę w tej sprawie, aby zaniepokojonych o swą Wiarę i język umysły uspokoić.

Ks. T. Jaroń.

Powieści z Pisma świętego.

(Ciąg dalszy).

Śmierć Sary. Ożenienie Izaaka.

Laban brat jej, poszedł natychmiast do studni, żeby zaprosić wędrownika. Eliezer przez ten czas dziękował Bogu mówiąc: »Błogosławiony Bóg Abrahama! On okazał miłosierdzie i skutek obietnic swych na nim; On prostą drogą przywiódł mnie do domu brata jego«.

Laban zbliżywszy się wtedy, rzekł: »Wnijdź błogosławiony od Boga! czemuż na dworze stoisz? nagotowałem ci dom i miejsce dla wielbłądów twoich«. I zaprowadził go do gospody, rozsiodłał wielbłądy, dał im plew i siana; gościowi i służącym, którzy z nim przyjechali, przyniósł wody do nóg umycia i jadło przed nimi postawił. Lecz wierny sługa powiedział: »Nie będę jadł, aż opowiem po com z daleka przyjechał«. — »Mów«, odpowiedziano mu; a on rzekł: »Jestem sługa Abrahama; Bóg pobłogosławił panu mojemu, wielkim i bogatym go uczynił; nadał mu owiec i wołów, srebra i złota, niewolników i niewolnic. Sara, żona pana mojego, urodziła mu syna Izaaka w starości swojej; jemu dał wszystko co miał i poprzysiądz mi kazał, że nie weźmie ten syn żony z pomiędzy córek Chanaana, w których ziemi mieszka; ale, że ja z rodziny jego żonę mu przywiozę. Przysiągłem, pojechałem, i prosiłem Boga, żeby mi wskazał dziewkę, którą synowi pana mego przeznaczył; wskazał mi córkę waszą. Przeto, jeśli chcecie uczynić miłosierdzie i prawdę panu memu, oznajmijcie mnie; jeśli inne macie zamysły, i tych nie tajcie przedemną, żebym gdzieindziej poszedł szukać żony Izaakowi«.

Na te słowa zdziwieni rodzice i krewni Rebeki tak odpowiedzieli: »Od Boga wyszło to zdarzenie; nie możemy ci dać innej odpowiedzi, jak *wola to Jego*. Oto Rebeka jest przed tobą, weźmij ją, idź, niech będzie żoną syna pana twego, jako Bóg wyrzekł«.

Gdy to usłyszał Eliezer, w radości serca, padł na twarz i dziękował Bogu. A dobywszy złote i srebrne naczynia i bogate szaty, ofiarował je Rebece w darze; rodzinie jej i matce dał także upominki; i wtedy dopiero przy sprawionej uczcie, jadł i pił z nimi wesoło.

Nazajutrz wstawszy rano, prosił, żeby go już puścili. »Niechże przynajmniej dziewieczka, powiedzieli mu na to krewni Rebeki i jej matka, niechże z dziesięć dni u nas mieszka, a potem pojedzie«. — »Nie zatrzymujcie mnie, mówił Eliezer, zdarzył Bóg drogę moją; puśćcie mnie, niech jadę do pana mego«. — »Zawołajmyż dzieweczki, rzekli, i dowiedzmy się o jej woli«. A gdy przyszła, spytali jej się: »Chceszże jechać z tym człowiekiem?« — »Pojadę!« odpowiedziała.

Puścili więc i ją i Eliezera i towarzyszów jego. Wzięła z sobą Rebeka mamkę swoją Deborę i kilka dziewcząt do usługi; i pojechali wszyscy spiesznie do ziemi Chanaana.

Gdy po długiej podróży dojeżdżali już na miejsce, zdarzyło się, iż Izaak wyszedłszy w pole dla rozmyślania, ujrzał ich zdaleka; Rebeka także spostrzegła go; a dowiedziawszy się od Eliezera, że to był Izaak jej mąż przyszły, zsiadła z wielbłąda, okryła się płaszczem i zasłoną na znak uszanowania i skromności. Eliezer zaś pobiegł naprzód opowiedzieć Izaakowi co i jak sprawił? Izaak zbliżył się do przyszłej swojej, zaprowadził do ojca i wkrótce potem pojął ją za żonę. Tak bardzo ją miłował, że ta miłość ulżyła żalu, który od śmierci Sary go dręczył.

Kronika kościelna.

— **Z Rzymu.** Z początkiem czerwca przyjmował Ojciec św. ostatnie serye pielgrzymek, poczem zapanował spokój w murach Watykanu. Teraz dopiero mógł Ojciec św. odpocząć po przebytych trudach, i odbywać dłuższe przechadzki po ogrodach watykańskich. Na letnie mieszkanie wybrał sobie Ojciec św. wieżę starodawną, stojącą w ogrodzie na wzgórku. Na pierwszem piętrze tej wieży przygotowano Ojcu św. wielką salę do wypoczynku, i przysposobiono ją odpowiednio. Budynek ten nadaje się w sam raz na letnie mieszkanie, bo jego mury, grube prawie na 4 metry, zabezpieczają dostatecznie przed upalnemi promieniami słońca. — *Dawniejszego nuncyusza* wiedeńskiego, ks kardynała Galimberti'ego, który teraz powrócił do Rzymu, przyjął Ojciec św. bardzo

serdecznie, a to jest znakiem uznania za jego prace oddane Kościołowi w czasie urzędowania we Wiedniu. — Dnia 12 czerwca odbył się *Konsystorz papieski*, na którym otrzymało kapelusze kardynalskie dwóch Biskupów francuskich, Prymas węgierski ks. Waszary, ks. Schlauch z Wielkiego Waradynu, oraz dwóch włoskich Biskupów. — *Aby dokuczyć* Ojcu św., zamierzają luteranie niemieccy wybudować w Rzymie kościół pod wezwaniem Lutra. Czy się im to atoli uda, to jeszcze rzecz wątpliwa. Rząd włoski oświadczył, że nie sprzeciwi się wybudowaniu zboru luterańskiego, byleby ten zbór czyli kościół nie nazywał się kościołem Lutra.

— **W Meduchach** pod Haliczem czterech włościan obrządku ruskiego wniosło do Starostwa podanie z oznajmieniem, że przechodzą na bezwyznaniowców, aby potem przejść na obrządek łaciński. Powodem tego kroku mają być zatargi z tamtejszym plebanem ruskim.

— **W Szynwałdzie** (w dyecezyi tarnowskiej) odbywała się od 30 maja do 9 czerwca misya parafialna pod kierownictwem OO. Redemptorystów. W misyi tej brała udział żywy cała parafia, i przystąpiła do św. Sakramentów. Przed misyą zburzono dwie dawne karczmy; na miejscu pierwszej zbudowano grotę z Lurd, a na miejscu drugiej stanie statua Serca Pana Jezusa. Trzecią karczmę żydowską zamieniono w gospodę chrześcijańską. Wszystko to jest zasługą miejscowego Proboszcza, ks. Siemińskiego.

— **Z pod Moskala.** Ks. Jan Bernat, wikary w Chełmie, za to, że wyspowiadał jednego ucznia z Zamościa, i dał mu poświadczenie odbytej spowiedzi napisane po polsku, a nie po rosyjsku, skazany został przez rząd rosyjski na 6 miesięcy pokuty do klasztoru.

— **Krzyże jubileuszowe.** Nasz prenumerator p. J. Sladek, przebywający obecnie na Szląsku pruskim pisze nam, że po wioskach tamtejszych poustawiano krzyże na pamiątkę 50-letniego jubileuszu biskupstwa Ojca św. Leona XIII. U nas w Galicyi jakoś nikt o tem nie pomyślał, a przecież i my zaliczamy się do katolików i dzieci duchownych Leona XIII.

— **Rzadkie święcenie kapłańskie.** We Włoszech, w Liguryi wyświęcił tamtejszy Biskup na kapłana 75-letniego starca, będącego ojcem, dziadkiem i pradziadkiem. Przy wyświęceniu asystowali Biskupowi trzej własni synowie nowo wyświęconego kapłana.

— **Z Paryża.** Niedawno odbywały się w Paryżu wybory do rady miejskiej. Nowa rada miejska obrała swym prezydentem Alfonsa Humberta, jednego z największych wrogów Kościoła św. Nic w tem dziwnego, gdyż nowa rada składa się z takich samych prawie ludzi, jako i jej prezydent. Rządy swe rozpoczęła nowa paryska rada miejska od tego, że wydaliła Siostry miłosierdzia ze wszystkich szpitali, w których jeszcze się znajdują.

— **Odznaczenie Biskupa katolickiego.** Rząd chiński mianował Biskupa Anzera, przewodniczącego misyi katolickiej w Szatangu, mandarynem. Mandaryn jestto bardzo wielka u Chińczyków godność.

Nowiny ze świata.

— **Duchowieństwo w Sejmie.** W naszym Sejmie galicyjskim zasiada jako poseł, tylko jeden kapłan rzymsko-katolicki i 3 księży ruskich, resztę zaś krzeseł, prócz kilku włościan, zajmują przeważnie panowie. Nic przeto dziwnego, że gdy przyjdzie pod obrady jaka sprawa mająca związek z religią i Kościołem, to niema jej kto bronić, a panowie pozwalają sobie różnych wycieczek przeciw Duchowieństwu. Tak bywa często, i tak było na ostatniej sesyi sejmowej. Panowie bowiem nasi, choć głoszą, że są katolikami, jednakowoż dość często zdradzają się, że im o Kościół i katolicyzm wcale nie chodzi. Wobec tego *Gazeta kościelna* głosi, że w przyszłych wyborach Duchowieństwo nasze będzie się starało o kilka krzeseł poselskich. Myśl to bardzo piękna, daj Boże, aby się urzeczywistniła, i aby *Gazeta kościelna* nad tem pracowała, jak to zapowiada. Cieszy nas i to, że XX. Redaktorom wspomnianej gazety otwierają się oczy, i że zaczynają inaczej sądzić o naszych panach, niż było dotychczas. Mamy też nadzieję, że lud chętnie ją poprze, zwłaszcza, gdy o poselstwo ubiegać się będą kapłani życzliwi ludowi, i nie oglądający się na panów. Przez to także zyskałby wiele *Klub katolicko-ludowy,* bo bez wątpienia księża posłowie do niegoby przystąpili.

— **Widoki urodzajów.** Ogólne budzi zaciekawienie w Austro-Węgrzech kwestya urodzajów. Widoki nie są zbyt pomyślne i rolnicy spodziewają się zbiorów średnich. Wskutek więc tego przywóz zboża do monarchii będzie znacznie większy niż w latach poprzednich.

W Rosyi widoki urodzajów ogromnie się poprawiły, a przestrzeń czarnoziemnych gubernij po ostatnich deszczach, pokryła się bogatą roślinnością. Rosyjskie więc pieniądze podnoszą się. W ostatnich dniach jednak telegramy nadsyłane z różnych stron Austro-Węgier, notują poprawienie się widoków urodzajów.

Desz długo oczekiwany poprawił w wielu miejscach szanse przyszłego wywozu zboża, a żniwa w Czechach, w Chorwacyi i Austryi, zapowiadają się więcej niż średnie. Na Węgrzech również kukurydza i pszenica poprawiła się znacznie. W Morawie i Czechach, Szląsku i Galicyi wogóle przedstawiają się ujemnie. Stręczyny rzepakowe drobne, a ziarno wskutek suszy panującej w początku wiosny przyschło. Dlatego zwyżka cen rzepaku ogromna, a wielkie olearnie na Morawie, w Austryi i Czechach, nie dowierzając rolnikom, bardzo mało poczyniły zamówień.

Galicya w r. b. znajduje się w daleko lepszych warunkach niż inne kraje monarchii. Pszenica i żyta zapowiadają zbiory obfite, a choć jarzyny chybiły w wielu miejscach wskutek panującej na wiosnę suszy, to jednak urodzaj owsa, pszenicy jarej wynagrodzi straty poniesione. Od kilku dni zastraszające rozeszły się wieści. Wskutek gwałtownych ulew rzepaki poniosły prawdziwą klęskę, a zboża w niektórych górskich powiatach przybite zostały przez panujące ulewy. Powodzie w wielu miejscach zamuliły siano, ztąd straty wynikną ogromne dla właścicieli łąk i znaczny ubytek paszy.

— **Regulacye rzek.** Krajowe biuro melioracyjne Wydziału krajowego przystępuje w tym roku do regulacyi rzeki Biały, w powiecie tarnowskim, do obwałowania prawego brzegu Dunajca, do regulacyi rzeki Nowego Brnia w pow. dąbrowskim, rzeki Krzemienicy w pow.

mieleckim, rzeki Łęgu w pow. tarnobrzeskim, rzeki Bugu w pow. sokalskim, do obwałowania prawego brzegu Wisły w pow. wielickim, oraz obwałowane będą Wisła i San w pow. tarnobrzeskim. Prócz tego nastąpi regulacya Dniestru od Żurawna do Rozwadowa. Zabudowane zaś będą potoki górskie w dorzeczu Biały w pow. grybowskim, potoki w dorzeczu Skawy w pow. myślenickim, potok Niszkówka w pow. nowosądeckim, i potoki w dorzeczu Stryja w pow. turczańskim. Prywatne zaś spółki wodne wykończą w roku bieżącym regulacyę Wisłoka i Pielnicy w pow. brzozowskim i sanockim, oraz osuszenie bagien oleskich.

— **Nadużycia w wojsku.** Na jednem z posiedzeń obradujących niedawno w Wiedniu »Delegacyj wspólnych«, przy rozprawie nad budżetem ministerstwa wojny, użalał się Poseł Pacak z Czech, na różne nadużycia, jakie się dzieją w wojsku. Mowca przytaczał różne wypadki, dowodzące jak wojskowi lekceważą sobie ludność cywilną i wywołują bez powodu z nią awantury. I tak w Pilznie (w Czechach) 5 maja dwaj żołnierze przechodząc koło pary, będącej mężem i żoną umyślnie wywołali awanturę, a gdy mąż zrobił im grzeczną uwagę, jeden z żołnierzy dobył szabli i pchnął go w plecy. Dowodził też dalej poseł Pacak, że i oficerowie obrzucają cywilistów obelgami. Wykazywał również, że rekruci bywają przez podoficerów bici i policzkowani, tak n. p. w Jarosławiu zaszedł wypadek, iż pewien rekrut wskutek takiego opoliczkowania stracił słuch i przez 3 miesiące był chory. Zdarza się często i to, że chorych żołnierzy, gdy zaczynają przychodzić do zdrowia, zaraz biorą ich do ćwiczeń, co powoduje powrót choroby. Wobec tego żądał poseł Pacak, aby w wojsku zaprowadzono inne postępowanie karne, bo zazwyczaj bywa tak, że nie ten, co bije, ale bity, bywa niewinnie prześladowany i karany, czego dowodem ten znowu wypadek, iż gdy pewien nadporucznik w Stryju, wznosił skargi na swego pułkownika, nietylko, że jego skarg nie uwzględniono, ale za to uznano go waryatem. I wiele innych jeszcze smutnych wypadków przytoczył Pacak, ale po co je tu wymieniać, kiedy ciągle sami to widzimy. Wszakże w Jarosławiu, w Przemyślu, we Lwowie, w Krakowie i w innych naszych miastach, gdzie stoi załoga wojskowa, zbyt często powtarzają się podobne wypadki, o jakich mówił Pacak. Na te uskarżania się Pacaka, minister wojny Bauer odpowiedział, że za granicą jest jeszcze gorzej, że te wypadki nie są jeszcze dowodem okrucieństwa, i wogóle p. minister dał bardzo niejasną odpowiedź. Wskutek tej odpowiedzi p. ministra, wzywa Czechów pewna ich gazeta, aby nie zamawiali muzyki wojskowej ani na zabawy, ani po restauracyach. Słusznie się Czesi pogniewali na wojaków. Nie na to bowiem rodzice chowają swe dzieci, aby te potem traciły przy wojsku zdrowie, i nieraz bez powodu były bite przez panów podoficerów i oficerów. I nasz włościański poseł do Rady państwa powinien to w kiedy podnieść, gdy będzie w Wiedniu.

— **Rozprawa sądowa** *przeciw X. Stojałowskiemu* odbywała się w Krakowie przed trybunałem sędziów przysięgłych od dnia 20 do 28 czerwca, a więc trwała przeszło tydzień. Podczas rozprawy, cały Kraków (z wyjątkiem, rozumie się, panów) ubolewał ze współczuciem nad losem X. Stojałowskiego, i wszyscy życzyli mu pomyślnego wyniku procesu. X. Stojałowski bronił się świetnie, i porywał swemi wywodami serca słuchaczów. Wogóle przez ten proces X. Stojałowski nie shańbił się wcale, ale owszem zjednał sobie szacunek kapłana uczo-

nego i prawdziwego przyjaciela ludu. Wynik procesu jest taki, że X. Stojałowski został *uwolniony zupełnie od winy*.

— **Straszne nieszczęścia.** W Smorzu powiatu stryjskiego, przy granicy węgierskiej z dnia 21 na 22 czerwca r. b. w nocy około godziny 1 szalała tak straszna burza z błyskawicami, grzmotami i piorunami, że nawet najstarsi ludzie tamtejsi podobnej nie pamiętają. Podczas tej burzy zapalił piorun jedną chałupę, należącą do Mojżesza Steinberga i zabił w stajni parę koni. W drugą chatę, należącą do Kuźmy Feduniaka, uderzył piorun, nie zapaliwszy jej jednak — lecz zabił matkę gospodarza i dziecko w kołysce poraził — dziecko zostało uratowane, a matki nie zdołano już ocucić. Matka podczas burzy chodziła po chacie, odmawiając modlitwy i w tej chwili została piorunem rażoną. Piorun wpadł otworem przez strzechę, porozbijał krokwie, a potem dostał się kominem, wystającym nad powałę do chaty, poraziwszy matkę gospodarza i dziecko.

— **W Mogilanach** za Krakowem we środę dnia 21 czerwca piorun zabił włościanina, który był zajęty pracą na polu. — Dnia poprzedniego wydarzył się tamże inny znowu straszny wypadek. Pewnego gospodarza niejakiego Jakóba Sasówkę zagryzł na śmierć ogier, który zębami poszarpał mu głowę całą i ręce pogruchotał, żebra połamał, wreszcie zaczął go włóczyć po polu, następnie położył się sam na ziemi. Kiedy Susówka, żyjący jeszcze, zawołał na pomoc, ludzie nadbiegli, chcąc nieść mu ratunek, co widząc ogier, rzucił się znowu na swą ofiarę, która pod kopytami końskiemi wyzionęła ducha.

— **Zgromadzenia socyalistów.** Dnia 18 czerwca (w niedzielę) zwołali socyaliści po różnych miastach w naszym kraju i za granicą, zgromadzenia ludowe. W niektórych miejscowościach, jak n. p. w Pradze, w Czechach i w Bernie na Morawie przyszło nawet do starcia z policyą i z wojskiem, które zmuszone było użyć broni, by tych wichrzycieli przyprowadzić do porządku, a zarazem i siebie bronić, bo socyaliści uderzali na policyą i wojsko. W Krakowie zebrali się socyaliści w sali u jakiegoś żyda, aby tam radzić nad dalszem bałamuceniem robotników i ludu. Narady swe odbywali *w czasie sumy*, a to dowodzi, że — jak ciągle głoszą i piszą — nie chcą (?) odbierać ludowi religii. Trzeba być bardzo głupim, by im wierzyć.

— **Wyścigi końskie** odbywały się w Krakowie przez 3 dni. Były to prawdziwe zapusty pańskie, a *Czas* unosił się nad balami, jakie panowie dla siebie wyprawiali codziennie po wyścigach. W trzecim dniu wyścigów t. j. 20 b. m. odbyło się po południu »korso kwiatowe«. Jestto nader głupia zabawa pańska, polegająca na tem, że ulicami jeżdżą powozy, a powozy te i konie przybrane są w kwiaty, przyczem ci, co siedzą w powozach, a więc panowie i panie, rzucają kwiatami na powozy jadące przeciwną stroną ulicy. Rozumie się, że na kwiaty, które chwytają i zbierają ulicznicy, wyrzucono kilka tysięcy reńskich. Ile to »korso« kosztowało w Krakowie, nie wiemy, ale gdy takie »korso« odbywało się niedawno w Warszawie, to na kwiaty wydano 30 (!) tysięcy rubli. Ile by to za te pieniądze można zrobić dobrego, ile rodzin wspómódz, ile łez otrzeć nieszczęśliwym!

— **„Praca“**, pismo katolickie, poświęcone głównie dla osób stanu robotniczego i rzemieślniczego, zaczęło wychodzić w Krakowie z dniem 1 czerwca b. r. pod redakcyą ks. Br. Stysińskiego. Dotychczas wy-

szedł już numer 3. Z tych 3 numerów widać, że pismo to wzięło sobie za cel bronić interesów stanu rzemieślniczego, podtrzymywać w tym stanie Wiarę św. i zwalczać piekielne zabiegi i obłudę socyalistów. Cel to wzniosły i szlachetny — godzi się więc »Pracy« przyklasnąć, i z całego serca życzyć jej: »Szczęść Boże«. *Praca* kosztuje na rok 4 złr., a wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca. *Adres* do przesyłania przedpłaty: Redakcya *Pracy* w Krakowie, ul. Kanonicza l. 19.

— **Bardzo pochlebny artykuł** o *Stronnictwie chłopskiem* znajduje się w 2-gim numerze gazety: *Praca*. Między innemi, czytamy tam, że stronnictwo to liczy już 3 tysiące członków, i że jest prawdziwą »matką« ludu, domagającą się równouprawnienia i ulg dla swych dzieci. Zachęca dalej *Praca* naszych *księży*, aby to stronnictwo popierali, choćby tylko z pobudek miłości bratniej i ludzkiej sprawiedliwości. Dałby Bóg, aby to nawoływanie *Pracy* nie było głosem wołającego na puszczy!

— **Niemowlę uduszone.** Na kolei państwowej, w wagonie II klasy pociągu pospiesznego kursującego między Lwowem a Przemyślem, poniosło w niedzielę dnia 18 czerwca niemowlę śmierć przez uduszenie. Okropny ten cios dotknął panią M., która z dziecięciem dwumiesięcznem odbywała podróż ze Lwowa do Przemyśla. Wskutek przepełnienia wagonów, z gorąca i braku powietrza, dziecię nakryte lekką muszlinową zasłoną, umarło. Pani M. prosiła kilkakrotnie konduktora o oddział mniej przepełniony, lecz bez skutku, gdyż jak zawsze tak i w niedzielę ilość wozów nie odpowiadała liczbie podróżnych.

— **Nowa kolonia polska.** W powiecie suczawskim, w polu znanem pod nazwą »Bułaje«, obok Zołestie na Bukowinie, poczynają osiedlać się Mazury z powiatów: Kolbuszowy i Sędziszowa. Pobudowali tam już do 40 zagród, w których mieszka około 200 osób. Szkoły nie mają żadnej.

— **Otwarty list** do p. ministra sprawiedliwości hr. Schönborna wystósowała redakcya katolickiego czasopisma: *Oester Volksfreund* (Austryacki Przyjaciel ludu) w sprawie X. Stojałowskiego. Pismo wspomniane wylicza różne wypadki udowadniające niewłaściwe postępowanie władz galicyjskich z X. Stojałowskim i domaga się sprawiedliwości. Treści tego listu przytoczyć nie możemy, bo choć owa gazeta wychodzi w Wiedniu, i tam nie została skonfiskowaną, to jednak u nas w Galicyi, inaczej by się stało. Wiadomo nam też, że podobne zbiorowe pismo do p. ministra w obronie X. Stojałowskiego, wniosło 30 redaktorów katolickich z Wiednia.

— **Emigracya.** Donoszą z powiatu brzeskiego, gubernii grodzieńskiej, że w tych dniach w stanie trudnym do opisania powróciły gromady wychodźców do Ameryki. Pomiędzy nimi nietylko znajdują się sami włościanie, ale i żydzi i szlachta tak zwana zagrodowa. Wszyscy nie mogą się dość naopowiadać, jakie przeszli smutne koleje; wrócili prawie boso i w łachmanach.

— **Miasto Hamburg** postanowiło od 16 czerwca b. r. nie wpuszczać żadną miarą wychodźców z Polski i Rosyi, czy zjadą koleją, wodą, czy też w inny sposób przybędą, nie wyjmując pieszych. Granicy pilnować będzie silna straż policyjna. Zakaz ten odnosi się i do tych, którzy już mają kartę na okręt i dostateczne pieniądze na podróż. Jedynie podróżujący kajutowi, czyli w pierwszej i drugiej klasie parowcowej, są z pod tego prawa wyjęci.

— **Rabin w kozie.** Rabin z Mościsk spóźniwszy się na pociąg, skoczył, gdy tenże był już w ruchu, na deskę umieszczoną przy wagonie i na niej odbył podróż z Mościsk do Medyki. Rabin zapomniał o tem, że za takie podróżowanie podlega się karze, więc też niepomierne było zdziwienie jego, jak po przybyciu do Przemyśla, żandarm wziął go za kołnierz i zaprowadził prosto do furdygarni. W Mościskach między chałatowcami wielki lament z powodu osadzenia rabina w kozie. W Przemyślu gmin żydowski odprowadził męczennika przepisów policyjnych na dworzec.

— **Manewry w Galicyi** odbywać się będą od 3 do 7 września, między Jarosławiem a Przemyślem. Na manewry te ma przybyć Naj. Pan.

— **Cholera** wybuchła we Francyi, a grasuje silnie w Mece, w Turcyi azyatyckiej. W Mece umiera dziennie po 200 osób.

— **Katastrofa na morzu.** Angielski okręt »Victoria« jeden z największych okrętów wojennych, zatonął w czasie parady wojskowej w zatoce tuniskiej, wskutek tego, że drugi statek uderzył w jego boczną ścianę i przewrócił go. Na okręcie było 718 żołnierzy, z tego uratowano tylko 296, reszta zaś t. j. 422 osób, zginęła w głębiach morskich wraz ze swoim przełożonym, czyli admirałem. W całej Anglii panuje z tego powodu wielki smutek.

Rozmaitości.

Wynalazki Polaków. Wojciech Kwiatkowski z Poznania otrzymał w Paryżu złoty medal za przyrząd zabezpieczający śpiących w letargu od strasznej śmierci. Witold Kleciński otrzymał również medal złoty za ulepszoną sikawkę strażacką.

Djabeł w kominie. Pewien właściciel realności w Jarosławiu wypowiedział sądownie mieszkanie panu W., za co pan W. zagroził właścicielowi domu »wpuszczeniem djabła do domu«. Gdy nadeszła noc a właściciel domu położył się do łóżka, nagle sprowadzony djabeł począł wyprawiać różne hece w kominie, tak, że nieszczęśliwy i przestraszony gospodarz musiał się po kilku dniach sam wynieść z domu. Wnet rozeszła się o tem wiadomość po mieście, a ludziska chodzili jak na odpust oglądać djable cuda. Był jednak między odwiedzającymi i wachmistrz policyi, który nie bojąc się djabła, kazał mu wyjść z komina pod groźbą zastrzelenia go. I prędko począł się z komina wysuwać djabeł, a djabłem była służąca owego pana W., któremu wypowiedziano mieszkanie.

Dobroczynność publiczna w Paryżu. Ostatnia zima okazała się zabójczą dla najuboższej ludności paryzkiej. Wielu bowiem nieszczęśliwych umarło z głodu i zimna, a winna temu głównie urzędowa dobroczynność. Paryż wydaje rocznie na swoich ubogich sto milionów franków, mimo to około 50 tysięcy biedaków ginie z głodu, bo urzędnicy dobroczynności publicznej już to sami kradną grosz dla ubogich przeznaczony, już też nie doglądają należycie rachunków i nie liczą się z rozchodami. Z owych 100 milionów franków, 30 milionów ginie gdzieś po drodze, a jednak za te 30 milionów możnaby wyżywić i ogrzać

60 tysięcy ludzi. Słusznie przeto pisma katolickie obwiniają rząd o roztrwonienie funduszów dobroczynnych.

Cudowny wynalazek. Jakiś Niemiec, Feliks Lendron, miał wynaleść, jak piszą gazety berlińskie, taki sztuczny proszek, że zapomocą niego w każdej chwili może z dnia zrobić noc. Wynalazek ten obliczony jest na to, aby podczas wojny utrudniać nieprzyjacielowi ruchy. Gdyby to prawdą było, to wynalazek ten byłby jeszcze większym, niż owe mundury nieprzepuszczające kul. Tylko godzi się wątpić czy to prawda, bo wiadomość tę puszczono w świat 1 kwietnia, na »prima aprilis«.

Jakie powodzenie mają gazety w Ameryce, to dość wspomnieć, że w r. 1891 wydawano w samej tylko Ameryce północnej 19 tysięcy 373 gazet, a jedno pismo zwane *World* (świat) liczyło *2 miliony 215 tysięcy 787 prenumeratorów*.

Nowy środek dla odkrycia złodziei i oszustów. W bankach petersburskich, zwłaszcza takich, które wypłacają grubsze sumy pieniężne, wprowadzono do kas nowość, a mianowicie ukryte przyrządy fotograficzne. Gdy więc kasyer wypłaca jakiej nieznajomej lub podejrzanej osobie większą kwotę, przyciska równocześnie ukryty guzik przyrządu i w tej chwili owa osoba, mimo swej wiedzy, zostaje odfotografowaną.

Amatorka psów. W mieście Turynie we Włoszech, znaleziono w pewnym domu około 10 małych trumienek. Myślano z początku, że pochowane są w nich szczątki dzieci, tymczasem pokazało się, że to zwłoki psów. Po dłuższych poszukiwaniach dowiedziano się, że w tym domu mieszkała dawniej jakaś hrabina, lubiąca namiętnie psy.

Człowiek parowy. Od czasu wynalezienia maszyn parowych, zbudowano mnóstwo przyrządów, obecnie zaś pewien profesor, Kanadyjczyk, zbudował człowieka parowego. Cały system kółek i drągów wprawionych w ruch parą, wywołuje zupełne, przynajmniej zdaleka, wrażenie chodzącej istoty ludzkiej. Człowiek ten w zbroi średniowiecznej i w szyszaku pali cygaro, wychodzi z niego dymek, a właściwie para, tosamo pióropusz na hełmie stanowią kłęby pary. Maszyna ta udająca człowieka, posuwać się może z szybkością 5 do 8 kilometrów na godzinę. Wzrost wynosi 1 metr i 80 ctm.

Ukarany zabobon. W pewnej wsi niemieckiej, umarła niedawno pszczelarzowi żona. We wsi tej jest dawny pogański zwyczaj, że wynajmują człowieka, i gdy orszak pogrzebowy rusza z domu, człowiek ów puka w ule, chcąc pszczoły niby zawiadomić o śmierci ich właścicielki. Kiedy atoli zaczął pukać, pszczoły, jak widać, nie zrozumiały tego znaku, i rozzłoszczone wypadły z swych pomieszkań, rzucając się na osoby idące na końcu orszaku pogrzebowego. Że tam wielu pokąsały, to pewna.

W pewnej wsi na Szląsku pruskim wyprowadził złodziej gospodarzowi z obory krowę czarną, mającą białą łatę na grzbiecie; krowa z nieznajomym człowiekiem iść nie chciała, zatem ów złodziej uwiązał ją u płota, obudził właściciela ze snu i ofiarował mu 2 złr., jeśli wstanie i pomoże krowę kawał drogi poprowadzić. Gospodarz zgodził się na ten łatwy zarobek, wziął krowę za postronek, a ta znając swego pana, szła dalej spokojnie. Białą łatę na grzbiecie okrył złodziej kożuchem i postronkiem przywiązał. Podprowadziwszy krowę pod las wziął zapłatę i wrócił do domu, lecz zaledwie się położył, zaniepokojony ry-

kiem krowy wyszedł na podwórze i spostrzegł własną krowę czarną stojącą przed oborą, a na jej grzbiecie przywiązany kożuch. Krowa ta wyrwała się widocznie złodziejowi z rąk w dalszej drodze i czemprędzej pospieszyła do domu, nagrodziwszy swego pana kożuchem. Złodziej się po niego nie zgłosił.

Wykaz ofiar

złożonych na restauracyę kościoła OO. Bernardynów w Leżajsku:

Zakład hr. Skarbka w Drohowyżu 2 złr. »Wierni Kościołowi Chełmscy Unici tłumnie się cisnęli do obrazu Matki Bożej w Leżajsku, gdzie znajdowali pomoc i ochłodę w doczesnych uciskach. Szanując pamięć ojców, nieliczne już resztki tych wdzięcznych dzieci Maryi, składają swój grosz jako cegiełkę mającą się przyczynić do przywrócenia dawnnej świetności w Leżajsku«. A Pociej. — M. Męciński ze Lwowa z dziękczynieniem za odzyskane zdrowie 1 złr.; Maryanna Tkaczyk z Jubiszyna o opiekę Matki Bożej 50 złr.; Szymon Federkiewicz 5 złr.; PP. Sakramentki ze Lwowa 1 dukat; P. O. Boc T. J. 5 złr.; ks. Sypniowski 2 złr.; NN. ofiara dla Matki Boskiej 1 złr.; W. Wajda z Żołtaniec 1 złr.; W. Fr. Helmann z Sokala 2 złr.; Zofia Póznik z Tarnopola na podziękowanie i polecenie się M. B. 2 złr.; Emil Wiśniowski z Wiśnicza o westchnienie do M. B. 2 złr.; Łastowiecki z Rozborza 1 złr.; W. M. 100 złr.; Karolina Zbyszewska z Cebrowa 2 złr. z życzeniem błogosławieństwa w zamierzonej restauracyi ku zatwierdzeniu czci całego narodu dla Królowej naszej;« Klementyna Winiarska z Pilzna 2 złr. o westchnienie za dusze zmarłych; W. Bieniewscy o pocieszenie całej rodziny 1 złr.; Edmund Trojnarski z Białej, Wład. Gonet z Korczyny, P. Zbyszewski z Buska, J. M. Kasparek z Wiednia, P. Młyńska z Kopyczyniec, A. N. z Pogwizdowa po 2 złr.; P. H. Lewicki z Ciężkowic 1 złr. »z życzeniem »Szczęść Boże szlachetnej myśli;« J. Kawiak z Kołomyi, F. Niemczycka z Śliwnicy po 1 złr.; Jan Semonowicz z Streptowa o pociechę i pomoc 1 złr; NN. z Chołojowa 1 złr.; J. S. 70 złr. *Ciąg dalszy nastąpi.*

Ks. Ł. Dankiewicz,
Gwardyan OO. Bernardynów w Leżajsku.

Ceny zboża w Krakowie.

(Z targu na Kleparzu dnia 30 czerwca 1893 r.).

Płacono za pszenicę białą 9 złr. — ct. do 9 złr. 15 ct., za czerwoną 8 złr. 75 ct. do 9 złr. 25 ct., za żółtą 8 złr. 75 ct. do 9 złr. 25 ct. za żyto 7 złr. — ct. do 7 złr. 44 ct., jęczmień browarny 6 złr. 30 ct. do 6 złr. 65 ct., za jęczmień na kaszę 6 złr. 30 ct. do 6 złr. 40 ct., owies 7 złr. 25 ct. do 7 złr. 60 ct., proso — złr. — ct. do — złr. — ct., tatarka — złr. — ct. do — złr. — ct. Wszystko za 100 kilogr.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarz. J. Łakocińskiego.